



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Barbara Kowalska

Dwa razy zdarzył się cud

Nie wiem jak daleko może sięgać pamięć ludzka, kiedy zaczyna się ścieżka wspomnień. Moja sięga wydarzeń, których – obiektywnie rzecz ujmując – nie powinnam pamiętać. A jednak nie muszę ich wskrzeszać, one tkwią we mnie. Powracały i powracają w koszmarach sennych.

Przyszłam na świat rok przed wojną. Nie pamiętam samego momentu wybuchu wojny, ale okupację aż nadto, mogę zatem podzielić się swoimi wspomnieniami.

Zagłębie – Dąbrowa Górnicza. Rodzina moja zajmuje lokal służbowy (ojciec pracuje w dozorcze technicznym kopalni „Flora”) na piętrze dworku pod miastem. Jest lato 1940 roku. Wokół dworku łąny dojrzałych zbóż, w obejściu mnóstwo domowych zwierząt, zapach świeżego mleka i masła, a także pieczonego chleba. Duży pies dogląda dóbr właścicieli. Są też „moje” koty (należące oczywiście do właścicieli domu), z którymi przebywam i rozmawiam całymi dniami, zyskując miano „kociej mamy”. To początek szczęśliwego dzieciństwa – jakże jednak krótkiego, brutalnie przerwane.

Pewnego ciepłego, słonecznego dnia kończy się ta sielanka. Przy stole cała moja rodzina: mama, tatko, starsza siostra i ja. Spożywamy posiłek. Słychać tupot żołnierskich butów, a potem łomot do drzwi. Dwaj uzbrojeni hitlerowcy kierują w nas lufy karabinów i donośnym „raus” wypędzają z mieszkania. I już jesteśmy na podwórzu. Na stole pozostał niedokończony obiad, w ustach nie przelknięte kęsy, przerażenie na twarzach, łzy w oczach. Z okien naszego mieszkania spadają na ziemię – jedna po drugiej – książki z bezcennej, rodzinnej, od pokoleń przekazywanej biblioteki, portrety rodzinne, albumy ze zdjęciami. Pilnujący gestapowiec nie pozwala – pod karą śmierci – ruszyć niczego. Nie można ocalić nic z tego, co tak bliskie i drogie. A jednak – chwila nieuwagi pilnującego i dwie książki już schowane pod koszulą ojca (są dla mojej siostry i dla mnie najcenniejszymi pamiątkami rodzinnymi; przekazemy je naszym dzieciom).

Płonie stos, spopielają się karty ukochanych książek rodziców, języki ognia pochłaniają twarze z fotografii. Nigdy nie dane mi było zobaczyć jak rodzice moi byli „mali”, „więksi”, jak sobie przysięgali, jak wyglądali moi przodkowie...

Nie mogłam pojąć co się dzieje. Nie wiem, czy mając tak niewiele lat rozumiałam co znaczy uczucie nienawiści, ale chyba właśnie wtedy poczułam jej smak. Myślę też, że właśnie wtedy przyswoiłam sobie nowe pojęcie – wojna.

W ten oto sposób ludzie zmuszeni zostali do zwolnienia mieszkania dla „nadludzi”. Przesiedlono nas, pozwalając zabrać jedynie trochę sprzętu domowego, na poddasze kamienicy „zwolnione” przez rodzinę żydowską. Obskurne dwuizbowe pomieszczenie, bez światła, wody, wygod, wyposażone jedynie w zdezelowany, żelazny, okrągły piec zwany „kozą” (z upływem czasu polubiliśmy tę naszą „kozę” –

pozwalala bowiem upiec w swoim popielniku ziemniaki – a jak wtedy smakowały!), która służyła za płytę kuchenną i źródło ciepła. Rozpacz rodziców. Jednak ich troskliwe i kochane, pracowite ręce potrafiły stworzyć z tego okropnego lokum przytulny kątek na okres wiejących grozą lat okupacji. Najbardziej dotkliwym był brak wody. Ten dar życia trzeba było przynosić z odległej o kilometr studni, w wiadrach przyczepionych do naramiennych nosideł i zwisających z nich łańcuchów, donieść ją wreszcie na III piętro (moja mama – w owym czasie młoda, śliczna, filigranowa kobieta – zapłaciła za ten wysiłek ciężkim kalectwem).

Ojciec mimo zajęcia kopalni przez Niemców ciągle pracował. Były więc kartki na jakąś żywność lub jakiś „ersatz”, jakieś małe pieniądze. Czasami udało się przynieść w menażce odrobinę „wasser-zupy” lub równie rozwodnionego puddingu (wydawał się pyszny, bo był słodki).

Lato 1941 roku. Z okna naszego poddasza, wychodzącego na dworzec kolejowy, obserwujemy wzmnożone transporty sprzętu i wojska niemieckiego w kierunku wschodnim i coraz większą liczbę wagonów pełnych stłoczonej ludności cywilnej. Słychać było ich wołania i jęki, jednak nie można było pomóc, nie było możliwości przedarcia się przez szczelny kordon żandarmerii niemieckiej dworzec.

Rok 1942. Okrucieństwo wojny i tym razem wtargnęło do nas przez drzwi. Łomot. Znajome złowrogie kroki. Nocą wpadają gestapowcy. Słyszę zrozumiałe już dla mnie „raus” i owe „Lager”. Szarpanina, bicie, kopanie, popychanie kolbami. Przerazanie na twarzach rodziców, pytanie ojca, czy wszyscy mamy wyjść. Pada odpowiedź: „Du” i twardy rozkaz: „Sich ankleiden”. Tylko to, co na grzbiet, nic ponadto. Nie pozwalają nawet pożegnać się z nami. Tatko ogarnia nas zrozpaczonym spojrzeniem, uśmiecha się jednak. Popędzany – znika... Pomimo ostrego nakazu dotyczącego zaciemniania okien, zrywamy czarną roletę (zresztą i tak jest noc) i wypatrujemy w ciemności jego sylwetki. Ręce ma w kajdankach. Odwraca głowę, jakby czuł nasz wzrok. Otrzymuje cios w plecy, a doprowadzony do rampy – ginie nam z oczu w tłumie zgromadzonych tam osób. Nie wiemy dlaczego, za co, w jakim kierunku, czy na długo, czy może na zawsze... Nie będziemy znać odpowiedzi przez ponad dwa, bardzo długie lata...

Nastaly dla nas najcięższe dni, tygodnie, miesiące i lata okupacji. Matka z dwójką małych dzieci, bez żadnych pieniędzy, bez żadnych środków do życia. Oprócz ciągłych nalotów niemieckich bombowców, zaczął nas nękać głód. Jakże dobrze pamiętam niezliczone dni i noce spędzone w piwnicach, w przesyconym wilgocią powietrzu. Piwnice stały się schronieniem, a surowa lub rozparzona brukiew – jedynym pożywieniem.

Głód zmusza naszą mamę (jak zresztą wiele innych osób) do ryzykownych wypraw na wieś, po jedzenie, jak to się wówczas mówiło – „na szmugiel” (handel wymienny). Jakże okropne do zniesienia były dla mnie i siostry te dni bez mamy i ciągła obawa, czy wróci... Często zostawałam na wybiegionym poddaszu sama, gdyż siostra – pod nieobecność mamy – musiała ją zastępować przy kopaniu okopów frontowych. Z jaką nieopisaną trwogą czekałyśmy na Jej powroty! A po powrocie? Łzy radości, że jest! Przez jakiś czas była osełka masła, potrawy z mąki, kawałek słoniny. Ale co było z zapłatą? Dopiero po pewnym czasie spostrzegłam, że z rąk mamy zniknął pierścionek, potem obrączka, a po maleńkich kolczykach pozostały maleńkie dziurki w uszach. Bywały też te mamine wyprawy bezowocne, bo co udało się cudem zdobyć na wsi, zostało odebrane przez Niemców lub zwykłych szabrowników.

Wielkanoc 1943 roku. Od dłuższego czasu nie opuszczam łóżka. Natomiast mnie opuszczają siły, nie jem, nie mówię, gorączkuję, półprzytomna – ledwo oddycham. To dyfteryt (dławiec – choroba Kruppa). Bezradność zapłakanej mamy – nie ma lekarza, nie ma lekarstw, nie ma ratunku... A jednak dobrym i niepojętym dla mnie zrządzeniem losu zjawia się lekarz – Niemiec (sprowadzony przez mamę dzięki czyjejś życzliwej podpowiedzi). Nie zapomniał o przysiędze Hipokratesa – leczy mnie bezinteresownie, wrywa niemal w ostatnim momencie ze smugi cienia. Wykrztuszam z gardła ogromnego, śmiertelnego „grzyba” i pierwszy raz od długich tygodni biorę swobodny oddech. Potem następuje długi okres powrotu do zdrowia schorowanego organizmu dziecka. Nie przypominam sobie, czy miałyśmy chociaż jedno jajeczko wielkanocne, ale pamiętam co powiedziała ta moja dzielna, jedyna, wspaniała i zawsze najukochańsza mama: „najważniejsze, że Bóg mi cię zwrócił dziecino, mój zajączku wielkanocny”.

Nie wiem jak przetrwałybyśmy te ciężkie lata okupacji, kiedy ojca z nami nie było, gdyby nie pomoc sąsiadów, mieszkających na piętrze pod nami. To była kolejarska rodzina z trójką drobnych dzieci. Stała się też naszą rodziną – chciała i umiała podzielić się tym niewielkim dobrem, które posiadała. Tych wspaniałych ludzi nie ma już wśród żywych (a dzieci są dzisiaj bardziej niż dorosłe), ale w moim sercu mają najcieplejszy zakątek.

Trochę o życiu codziennym. Poddasze przez nas zajmowane mieściło się w budynku w kształcie litery „L”. Krótkie ramię tej starej kamienicy zajmowali Polacy, a w dłuższym – na parterze – mieściła się restauracja prowadzona przez rodzinę niemiecką (oczywiście „Nür für Deutsche”) oraz sklep (taki od mydła do powidła) dla prawie wszystkich, prowadzony przez małżeństwo ukraińskie. Lokale mieszkalne tych rodzin były na piętrach. Dlaczego o tym wspominam? Wyjaśnię. Otóż właściciel restauracji (oczywiście „Übermensch”) i jego kilkunastoletni syn (członek Hitler-Jugend) fizycznie nie

znosili Polaków, zaś jego żona i mała córeczka Lilly (moja rówieśniczka) były normalnymi istotami. Ta poczciwa Frau Filles, orientując się w naszej sytuacji, częstokroć, tak po prostu, przesyłała nam za pośrednictwem małej Lilly coś do zjedzenia. A Lilly, pokonując ogromną liczbę schodów do naszego poddasza, wpadała zdyszana, wołając od progu: „kolera (cholera) jasny, te schody!” Lubiła się z nami bawić (aczkolwiek nie miałyśmy żadnych zabawek). Siostra wymyślała różne zabawy. Lilly też szybko przyswajała polskie słownictwo, podczas gdy nam nie spieszo było ku niemieckiemu...

Czy owa Frau miała wielkie serce czy tylko litość, współczucie – nie wiem. Był w niej jednak odruch normalnego człowieka. Ów anonimowy niemiecki lekarz i nie-anonimowa Frau, to dwie jasne, pozytywne osoby, które z pozycji wroga-okupanta podały nam pomocną dłoń. Widocznie i wśród „nadludzi” byli ludzie...

Długo nie mogłam zrozumieć, dlaczego po „kartkowe” zakupy do sklepu „ukraińskiego” mama zawsze wysyłała mnie, przykazując tylko, aby nie wchodzić do wewnątrz, gdy będą tam Niemcy. Wyczekiwałam więc stosownego momentu, dokonywałam owych zakupów, wręczałam kartki, a do mojej drobnej łapki trafiały – wtykane ukradkiem przez prowadzącą sklep Ukrainkę – jedna lub dwie kostki cukru (przydziałowa była wyłącznie sacharyna). Wtedy pędziłam na „nasze poddasze”, aby kostki się nie rozpuściły, aby jedną dać siostrze, a drugą mamusi. Jednak Ona nigdy nie przyjmowała tego słodkiego prezentu, odmawiając z uśmiechem: „nie lubię cukru, córeczko”.

A propos, zdarzyło mi się w tych latach (jeden, jedyny raz) zasmakować cukru do syta, a nawet do przesyty. Nasz „Kolejarz” (kupił? zdobył?) przyniósł cały worek cukru. Byłam akurat piętro niżej. Przycupnęłam za tym workiem, wyskubałam dziurkę i pochłaniałam tę słodycz aż do dosłownego znudzenia... Okupacyjny grzech łakomstwa!

To słodkie nasycenie musiało wystarczyć mi na długo. Skończyły się moje „wypadki” do sklepu, miało bowiem miejsce mrozące krew w żyłach zdarzenie. Polka, młoda matka, pozostawiła swoje maleńkie dziecko w wózek przed sklepem. Maleństwo zaczęło płakać. W sklepie był w tym samym czasie postrach okolicy – esesman z jednym sztucznym okiem, w nieskazitelny – jak zwykle – mundurze i błyszczących oficerkach. Zdenerwował go płacz polskiego dziecka. Należało je ukarać, więc za nóżki i o mur... Co stało się z matką maleństwa – nie wiem, zaś esesmański cyklop martwił się tylko o stan swojego munduru.

We mnie uczucie nienawiści zostało ugruntowane. Doszło też następne – strach! W tym strachu, beznadziejności, upokorzeniu i biedzie upływały dni, tygodnie, miesiące i lata tej okrutnej, niepojętej do końca przez dziecko wojny. Moja starsza siostra uczęszczała do szkoły, a ściślej mówiąc brała udział w tajnych kompletach nauczania. Czasami, jeśli miejsce zajęć było bezpieczne, zabierała mnie ze sobą. Mało co rozumiałam z tych wykładów, niemniej jednak w wieku 5 lat swobodnie czytałam poczciwego „Falskiego” i zapewne z błędami, ale również pisałam. Rachowanie i tabliczka mnożenia też nie były mi obce. Tak to z „doskoku” pokonałam pierwszy stopień edukacji...

Lato 1944 roku. Wyglądamy z mamą z okna naszego poddasza – zawsze coś się dzieje na stacji kolejowej. Nagle krzyk mamy: „Ojciec idzie! Tato wraca!”. Wyteżam wzrok. Istotnie idzie ktoś, ale to nie mój Tato! Mój Tatuś jest – przecież pamiętam – wysoki, szczupły, piękny, niebieskooki, o bujnej blond czuprynie! Widzę natomiast ociężałą, otyłą, nędznie odzianą postać. Głowa ogolona! Nie rozumiałam wtedy, że ta otyłość to opuchlizna – skutek głodu. Jak mama Go poznała? Chyba sercem! I już jest z nami, umęczony ponad dwuletnim pobytem w obozie – nasz Tatek – wytęskniony we łzach.

Jesień 1944 roku. Tato mówi, że padła bohaterska, powstańcza Warszawa. Coraz większy niepokój w Zagłębiu i na Śląsku. Wieści dochodzące ze wschodu pogarszają nastroje Niemców. Wzmagają ich agresję i okrucieństwo. Niszczą źródło życia mieszkańców Zagłębia zatapiając kopalnię „Florę”.

Boże Narodzenie 1944 roku. Jedyne święta, jakie pamiętam z okresu okupacji. Tato przyniósł choinkę! Robimy „cacka” z papieru i kleju z mąki. Mama gotuje karmelki, które też ozdobią drzewko i przynosi kilka rajskich jabłuszek (chyba wyczarowanych!). „Koza” ogrzewa nas swym ciepłem, mruka i świeci płomyk „karbidówki”. Na stole wigilijnym gotowana kapusta i pieczone w popiele ziemniaki. Ale najważniejsze, że wszyscy żyjemy i jesteśmy razem! Łamiemy się opłatkiem z nadzieją na rychły koniec wojny. Nie wiem jeszcze wtedy, że najgorsze dni wojny przed nami. Cichutko nucimy kolędy...

W niemieckiej restauracji na parterze huczna biesiada. Rozbrzmiewa „Stille Nacht, Heilige Nacht” – „Cicha noc, święta noc”. Dla kogo cicha, dla kogo święta, komu pokój niesie?! Dla nadludzi o skamieniałych sercach, w których umarła PRAWDA?!

Styczeń 1945 roku. Warszawa wolna! Ostra zima, potworne mrozy. Naloty, bombardowania, huk bomb, śmierć zbiera żniwo. Piekło! I znów dni i noce w piwnicach. I znów znienawidzona rzepa. Wkraczają jednostki wojsk radzieckich. Rosyjskie działo „Katusza” stoi tuż koło naszego domu, który drży w posadach. Nasilone działania wojenne nie pozwalają nam dotrzeć do piwnicy sąsiedniego budynku. Chronimy się na parterze, w niemieckiej restauracji. W obliczu śmierci właściciel ma gest. Wściekły atak niemieckiego bombowca skierowany na rosyjskie działo i niecelny pocisk ląduje w środku sali restauracyjnej. Śmiertelne przerożenie. Pocisk jednak nie wybucha. Cud! „Zajaczek”, a raczej szaraczek zimowy, ocalał! Po raz drugi! „Katusza” milknie, padają – śmiertelnie rażeni – artylerzyści.

A jeszcze przed momentem wyglądali jak niedźwiadki polarne, w swych puchatych, białych kombinezonach. Zobaczyłam i zrozumiałam – ŚMIERĆ!

Koniec stycznia 1945 roku. Front się oddała, już się oddalił. Ucichł huk armat, syk bomb, ryk bombowców. Jedyne z daleka dochodzą odgłosy walk. Zagłębiowskiej i górnośląskiej ziemi nie depte już nienawiścią podkuty but hitlerowski. Uczę się ciszy i pojęcia WOLNOŚĆ. W jednym z ostatnich dni tego mroźnego stycznia otrzymuję kolejną lekcję historii. Opatulona jak „matroszka” mamina wełnianą chustą (oczywiście z braku ciepłego odzienia), idę z siostrą, prowadzona przez Tatę, na tę właśnie LEKCJĘ HISTORII. W dobrze znanym nam miejscu wyrosła góra, której tam nigdy wcześniej nie było, cała ośnieżona i w jakimś dziwnym kształcie. To była GÓRA ŚMIERCI – przeogromna sterta zamrożonych zwłok żołnierzy radzieckich, poległych na tej ziemi, na polskiej ziemi... Na wierzchołku młody żołnierz, prawie dziecko, z rozrzuconymi rękami – w jednej cebulka, w drugiej scyzoryk. Nie chcę więcej patrzeć, wystarczy. Pamiętam do dziś, głęboko utkwilo w mojej pamięci. Tato, trzymając nas za ręce, powiedział: „Dziewczynki, to wojna, to cena wolności”.

Gdy zelżały mrozy polegli znaleźli miejsce we wspólnej mogile. Mieli też – do czasu, gdy ktoś uznał, że im się nie należy – pomnik wdzięczności.

A tymczasem na wczorajszych „władców świata” czekają bramy obozów jenieckich. Maszerują, a raczej wloką się – szarzy, zarośnięci, bez śladu dawnej elegancji. Zapodziała się gdzieś ich buta... Zagłębiacy w milczeniu obserwują ich wymarsz. Również niemiecka ludność cywilna stopniowo opuszcza miasto. Kierunek: Reich. Furmanki z jakimś dobytkiem, smutne miny, niepewność jutra. Wyruszają też w drogę właściciele niemieckiej restauracji. Podbiegam do Frau Filles, ściskam ją, a Lilly pociągam za rudy warkoczyk. Na jej buzi ły – więcej ich niż piegów. Odczuwam skurcz serca...

Wiosna, maj 1945 roku. Od jakiegoś czasu chodzę do ochronki (namiastka przedszkola). Przyjechała do nas „ciocia UNRRA”. Dostajemy więc czasami kakao i masło orzechowe.

Maj 1945 roku przyniósł ze sobą koniec wojny i powiew wolności. Budzą się do życia wszyscy i wszystko. Budzi się też przyroda. Jakby cudowną zielenią i zapachem kwiatów chciała ukoić ciągle jeszcze żywą rozpacz i świeże ły...